

Włodzimierz Korsak

część II z IV

Sygnatura notacji: **N1364**

Data urodzenia: **10.02.1928 r.**

Data nagrania: **06.06.2019 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Lublin, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Karol Litwin**

Czas nagrania: **część I: 70 min, część II: 46 min, część III: 45 min,**

Format nagrania: **video** **część IV: 70 min**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Karol Litwin: Jakby pan mógł opisać te akcje wszystkie, jak pan najbardziej szczegółowo pamięta?

Włodzimierz Korsak: Tak. Więc akcja, jedna z tych największych, była prowadzona na sąd okręgowy. Dostaliśmy rozkaz, że musimy zabrać dokumenty śledcze i dowody, które znajdują się w sądzie, bo w najbliższych dniach czy tygodniach mają być sprawy prowadzone. Ja zrozumiałem, że jeśli nie ma dowodów, akta śledcze też tak samo są zabrane, to każdy już może, obojętnie w jakiej sytuacji, odwołać nawet swoje zeznania. Akcja miała być prowadzona, najpierw był dokładnie rozpracowany szczegółowo, plan posadowienia budynku, jakie są przejścia, którędy, gdzie są wartownicy. To robili koledzy i inni. My natomiast mieliśmy, znaczy z tej samej grupy, tylko inni to koledzy. Myśmy mieli zabezpieczyć ochronę na zewnątrz. Przebrani byliśmy w mundury, jak ja mówię, w drelichy z opaskami MO. Weszliśmy do sądu tylnymi drzwiami, nie głównym wejściem, tylko tylnymi, dlatego że tam skarbnik mieszkał w bocznym mieszkaniu. Ale moment był trochę krytyczny, nie do końca chyba był dokładnie to rozpracowany, bo jeden klucz skarbnik miał, a drugi klucz miała księgowa do skarbca. Więc trzeba po nią pójść, bo jak już weszliśmy, to trzeba po nią pójść. Więc Rysiek ze mną, poszliśmy, ona mieszkała na Narutowicza. No i bez żadnych trudności, oporów ta pani poszła z nami. Nie mówiliśmy, że musimy do skarbca, tylko że wezwanie jest, żeby ją przyprowadzić. Stamtąd zabraliśmy wszystkie te dokumenty, rzeczy, pistolety, inne rzeczy. W każdym bądź razie nam zabrakło, że tak powiem, opakowań na to, żeby zabrać to. Ja zwróciłem uwagę, że ten syn tego pana, księgowego tego, ma dużą teczkę. Ja od niego wziąłem tę teczkę. I on mówi: „To ja do szkoły nie będę miał z czym chodzić”. „To ja ci ją oddam”. Jaka naiwność moja była. Ja się z nim umawiam na drugi dzień w parku Saskim, na której ławce ja będę czekał. Przecież wystarczyło, żeby on powiedział i mnie by zwinęli bez żadnych problemów. Czasami słabość czy naiwność, brak, że tak powiem, dzisiaj to bym

tego nie zrobił, ale wtedy to nie zastanawiałem się. No, nie moja teczka, trzeba chłopakowi oddać. Dość ciekawe, bo później na, dzisiaj to jest Piłsudskiego, tam ciotka mieszkała, miała taką dużą herbaciarnię. Z tyłu na zapleczu był duży piec. My część tych dokumentów paliliśmy, znaczy część, wszystkie paliliśmy tam. No i między nimi koperty były. Ja tak patrzę w kopertach nic nie ma, zaglądam, nic nie ma. Wyrzucam to. W jednej z tych kopert czuję, że tam coś jest. Zaglądam, jakieś kamyczki. Był „Rosa” z nami, to nasz opiekun nazwijmy czy pośrednik między nami, a dowódcą. I mówi: „Pokaż mi tę kopertę”, bo ja mówię: „Coś tu jest”. Mówi: „To są?” Wziął na rękę, wysypał i mówi: „To są przecież brylanty”. Mówi: „Dużo tych kopert?” „Nie wiem, kilkanaście tam rzuciłem”. Zaczęliśmy przeglądać, tam było chyba jeszcze zostało z osiem kopert, wszystko z brylantami. Mówi: „Nie wiedziałem, że w życiu brylanty będę palił”. No, ale to są różne przypadki takie życiowe. W każdym razie, niektóre fragmenty trochę się zacierają sposobu. Tu jak jest ulica Kapucyńska, tam był kiedyś bank, nie pamiętam nazwy. Mieliśmy z tego banku zabrać pieniądze. Wiadomo, że żadnych samochodów nie dysponowaliśmy, ale dorożki były. Ci woźnice z tyłu mieli za siedzeniem taki pojemnik na obrok. Więc wynajęliśmy dozorcę, woźnicę, który miał przyjechać i czekać tam. Był taki moment, wchodząc do środka, nie używaliśmy... W żadnej z tych akcji, w której ja brałem udział nigdy nie padł żaden strzał. Do nikogo. To było wszystko przez zastraszenie. Ludzie, widząc broń, bo część z nas była w mundurach, część była po cywilu, widząc broń kierowaną do siebie, nawet nieodbezpieczoną, robili wszystko, co trzeba. W każdym razie w tym banku pan dyrektor nie chciał otworzyć skarbcza. Nie pamiętam który, czy Bogdan, czy Rysiek mówi, „Legitymację partyjną masz?” Mówi: „Mam”. No, to kazali mu zjeść tę legitymację. Z oporami zaczął, „Nie zjesz, to ci kulę w łeb strzelimy”. To było tylko na strach brane. Zjadł tę legitymację, otworzył skarbiec, w skarbcu później go zamknęli, żeby posiedział. Klucze wyrzucili gdzieś po drodze. Do tej dorożki z tyłu się wpakowało pieniądze w workach. Któryś z chłopaków z dziewczyną, nie wiem, która dziewczyna była. Aha, ta dziewczyna to była „Rosa”, zawsze z taką dziewczyną chodził. Nie wiem, to przyjaciółka, koleżanka, do dzisiaj dnia nie wiem, kim ona tam była. Może była kochanką jego. Niektórzy mówili, że to jest kleryk. Może to była złośliwość jakaś, bo on zbyt pobożnie zawsze podchodził do tych spraw. W każdym razie od niego otrzymywaliśmy rozkazy, od niego otrzymywaliśmy przekazy. On przejmował wszystkie rzeczy, dokumenty czy pieniądze. Część tych pieniędzy, znaczy parę razy, jak jest ulica, jak szpital Bożego Jana, – tam kiedyś była komenda oddziału. – Biernackiego. Biernackiego dzisiaj. W każdym razie tego domu już nie ma. To był drewniany dom, głębiej, nie przy samej ulicy, tylko w głębi przy ogrodzeniu. W tym miejscu w tej chwili jest apteka. Wchodziło się nie od frontu, tylko od tyłu się wchodziło. Wchodziło się do takiej sieni. I z tej sieni było przejście do tego mieszkania, który był w kierunku ulicy. Ale żeby się dostać do komendy, to trzeba było wejść w szafę i wyjść na zewnątrz. I z drugiej strony przejść. Tu mi „Rosa” pokazał, którędy mam wchodzić, bo ja często właśnie przenosiłem pieniądze. Tam widziałem starszych panów, tak ja bym określił, bo wtedy gówniarz ja byłem. Starsi panowie tam byli. Przyjmowali to. Pytali się: „Ile tu jest?”. Ja mówię: „Nie wiem”. Nikt nie liczył, nie sprawdzał tego. „Rosa” zawsze albo ze mną był, albo ja sam byłem. Przeważnie z nim. W Lublinie jeszcze pamiętam, naprzeciwko Lublinianki to był jakiś bank, nie pamiętam nazwy jego. Ale tam bardzo szybko, bez żadnych problemów, któryś z pracowników zaprowadził nas w części podziemia. I stamtąd też pieniądze zabraliśmy. Nie było żadnych oporów. Ja dlatego mówię, że w żadnej z tych akcji, które były prowadzone, nie padł żaden strzał. Ludzie byli zastraszeni widokiem broni chłopaków, którzy może by użyli tych broni. Był okres, że myśmy przygotowywali wysadzenie pomnika. Na Placu Litewskim był pomnik żołnierza radzieckiego, który rękę miał wyciągniętą w kierunku poczty. A na poczcie był zegar. I śmieliśmy się, dawaj czasy. Mieliśmy przygotowane trotyl, przewody. Kiedyś ubicacja była w podziemiu, żeby tam przeciągnąć przewody. I jak godzina policyjna zapadnie, żeby wysadzić to. To już było wszystko przygotowane, określone, godzina, ćwiczenia, jak, w której, zegrane to. No i później

przyszedł rozkaz, anulowane. Dlaczego? Bo były obawy, że społeczeństwo, które tam w pobliżu mieszka, mogło odczuć to. I UB, i Rosjanie by się mścili, wywalić pomnik świeżo postawiony. No, są takie fragmenty... Cofnę się do okresów Żabiej Woli. Tak jak wspominałem, był moment, kiedy Żydów Niemcy wyrzucili. Budynek, znaczy domy zostały całe, ale wszystko ze środka zostało rozgrabione. Nie wiem czy w poszukiwaniu mebli, czy w poszukiwaniu złota które i tak z sobą zabrali. Był moment, to był już chyba czerwiec, początek, tak, czerwiec. Ja pamiętam, z jakiejś akcji wróciłem konno, konia nie odprowadziłem do stajni, tylko przy dworze była taka szopa, tam drewnitnia była, ale pusta była, więc ja bardzo często tam konia zostawiałem. Któraś z dziewczyn mówi, że jakiś oddział przyjechał i buszując w folwarku. No ja przez ciekawość poszedłem, broń zostawiłem i poszedłem zobaczyć. No, popatrzyłem, to się za głowę wziąłem. Jakiś oddział partyzancki, nie wiadomo co, nie pytam się ich, po prostu w noc młody gówniarz się między nimi kręci. Zabierają brony, pługi, widły. No, że bydło bierze, to na oddział, na żywność czy na co, ale sprzęt? Po co mu widły? No ja szybko skojarzyłem to, to nie żaden oddział partyzancki, tylko to jakaś grabież normalna, ponieważ w tym niedaleko był oddział żandarmerii wojskowej, Korsarza. Ja sobie przypominę tę miejscowość. To ja, niewiele się zastanawiając wróciłem, konia osiodłałem, okrężną drogą pojechałem i mówię, że normalnie grabież jakiś oddział, rzekomo partyzancki rabuje, rozumiem, bydło, konie, no, to rozumiem, że potrzebne jest dla oddziału, ale brony, widły, pługi, to przecież to jest coś nie tak. A to był oddział AL-u, może kiedyś przypominę sobie, jego nawet pseudonim pamiętałem, z zawodu był fotograf. Mówi, że oni dlatego, bo Korsarz ściągnął swoich ludzi, otoczyli ich i kazali z powrotem to zwrócić, bo mówi, że jeśli to będzie reforma rolna, to ci ludzie, którzy pracują w majątku, nie będą mieli czym to obrobić, a wy chłopcy ze wsi macie konie, to po co jeszcze wam. No to w każdym razie wiem, że ten dowódca zaczął coś tam rozrabiać, to mu kazali, nie sam, tylko zastępcy tego z AL-u, zastępcy tego dowódcy, kazali temu parę batów po tyłku dać, został pobity. W każdym razie chciałbym zwrócić uwagę, jaka jest pazerność ludzka, wtedy kiedy widzi, że nie zostanie czy żydowska, czy w majątku, że to zabrać. W każdym razie dla mnie to było niezrozumiałe, ale to wtedy, jako młody chłopak, przeskoczyłem na temat. W każdym razie w oddziale nam, przetrucili nas, zostaliśmy przetruceni do Krakowa, mieliśmy zacząć tam działalność, podobno jak w Lublinie, ale głównie przygotować kanał przerzutowy przez Czechy. Każdy we własnym zakresie wynajmował sobie, szukał noclegu. Wynajmował pokój czy tylko spanie, nawzajem się nie informując, gdzie jesteśmy, tylko w określonych godzinach, w miejscu mieliśmy się spotykać. Między innymi w Krakowie, to śmiać mi się chciało, że jak można szybko wartownika pozbawić broni, nie zabierając jemu. Między innymi akcje mieliśmy na dworzec kolejowy na kasę, ale tam wartownicy mieli broń – karabiny. Ja wpadłem na prosty sposób, nie zabierać, tylko zamki zabrać. Jak zabierze się zamek z karabinu, to on może tylko używać jako cepa, albo jako kija. W każdym razie stamtąd pozabieraliśmy zamki ze sobą, a później gdzieś myśmy powyrzucali. Akcja trwała bardzo krótko, bo znów zastraszanie, jeśli wartownik czuje rewolwer czy automat pod żebrami, to oddaje wszystko. Bo to młodzi byli. Był z jednej z tych... Aha, gdzieś na przedmieściach Krakowa, nie pamiętam dokładnie tej miejscowości, czy to była fabryka czekolady, czy to był browar. Stamtąd po bardzo szybkiej akcji, bo dosłownie minutowej, bo przedtem były rozpracowane dokładnie, jak jest układ pomieszczeń, jak można łatwo dostać się do kasjera i kto go zabezpiecza. Mając już te wszystkie dane, bez problemów myśmy wchodziłi, tak jak gdyby idąc po ścieżce. Stamtąd wiem, że wracaliśmy z Ryśkiem, byliśmy na plantach krakowskich, jakaś strzelanina. Przy sobie mieliśmy broń, więcej nic. Tę broń mieliśmy normalnie schować i po cywilu chodzić, bez munduru. Ja tylko niepotrzebnie w tym mundurze angielskim łąziłem. Rysiek został postrzelony w siedzenie. Nie wiem, czy tak nisko brał, bo myśmy nie uciekali, tylko szli, tylko seria z automatu. Ja nie otrzymałem żadnego ładunku, tylko Rysiek. Jak on został postrzelony, zaczęliśmy uciekać. W Rynku w jakiejś kamienicy wpadliśmy, ponieważ ludzie chyba pokazali, że ja byłem w mundurze, a „on w mundurze był, i drugi, tu się schowali”.

Nie było sensu ostrzeliwania się, bo co z rewolweru, ile można ostrzeliwać się, jak to jest hurma ubowców i żołnierzy radzieckich, bo to razem oni... Pierwsza rzecz, to od razu ja broń to normalnie wyrzuciłem, tak że przy sobie nie miałem. Natomiast Grzesiek trzymał kurczowo, to niepotrzebnie, bo oberwał parę razy i takich mocnych uderzeń, że parę zębów stracił. No i postawili pod ścianą i pierwsza seria poszła nad głowami i druga seria podobno w nas miała pójść, ale jakoś szczęśliwie uniknęliśmy rozstrzelania. Trafiliśmy do śledztwa w Krakowie, gdzie dzisiaj jest Pałac pod Baranami. Tam było NKWD i UB. Przeszliśmy tam paskudne śledztwo. Nie wiem, do dzisiaj dnia nie mogę się połapać i zrozumieć, jak szybko wszystkich nas wyłapali. W ciągu jednej nocy wszystkich nas wyłapali. Jedyne nie został złapany „Rosa” ze swoją przyjaciółką. Nie wiem, czy miał więcej szczęścia, czy ktoś nad nim czuwał. No, śledztwo było paskudne, to było mordobicie. Przy drugim, trzecim wiaderku wody odyskiwało się przytomność. No, bicie, po twarzy, po rękach, po głowie kolbą pistoletu. Ja miałem porozbijaną głowę. Bardzo szybko przeprowadzili śledztwo. Przerzucili nas do świętego Michała. Tam był kiedyś jakiś zakon świecki, znaczy zakon jakiś, ale tam wszy i pluskwy były. Tak że w nocy spać nie można było, bo dosłownie te pluskwy z góry spadały, tak jak skoczki. Po jakimś czasie, po kilku, nie pamiętam już po jakim długim czasie, przerzucili nas na bastion warszawski. Nawet znalazłem te zdjęcia. Więc tam Sławek i Rysiek nawiązali kontakt z sąsiednimi celami. Okazało się, że tam w sąsiednich celach byli od „Ognia”, oddział AK-owski, który działał na Podhalu, tam było 15 czy 16 ludzi. I oni twierdzili, że przygotowują ucieczkę, że z „Ogniem” się porozumieli, że mają samochody wjechać do środka i po wyważeniu drzwi w celach, na te samochody mieliśmy wsiąść i wyjechać. Okazało się zupełnie co innego. Najpierw trzeba było się z tych cel wydostać i dostać na górną część. Noc była ciemna. Ponieważ ja w śledztwie paskudnie oberwałem, może dlatego, że raz, że nie chciałem się przyznać, albo może zbyt ostro odpowiadałem, na ich wulgarne słowa potrafiłem tak samo do nich powiedzieć, to Sławek i koledzy doszli do wniosku, że: „Ty się nie pchaj, bo jesteś najmłodszy i najstarszy. My to załatwimy”. Wiem, że po pryczach na górę musieliśmy się wydostać, na górną część. No i tam kucnąłem sobie na brzegu. Nie wiem czy to ktoś koło mnie był, czy ze strachu przewrócił się, czy chciał się położyć. Jak pierwsza jakaś seria z automatu koło nas, usłyszeliśmy, ja poczułem, że ktoś mnie tak jak gdyby popchnął czy być może, że ten więzień, który obok mnie był, kładł się na ziemię szybko i potracił mnie, a ja z brzegu leżałem, kucnąłem, taka kulka z tego muru poleciała na dół. Panu Wojtkowi pokazywałem to zdjęcie, to jest wysoko, ponad chyba pięć metrów. Jak ja wylądowałem szczęśliwie na dole, że nie potamały, to nie wiem. Prawą nogę miałem złamaną podłuznie. Mnie uratowały oficerki, że nie wyszło, że utrzymałem nogę. W czasie tej ucieczki byłem postrzelony w lewą rękę, pod palcem, który nieraz czasami jest krzywy, ale prostuje się, jak go pomasuję, to się prostuje, tam odłamek miałem. Ucieczka, jak niektórzy twierdzą, że byłem odważny, nie, ja nie byłem odważny, mnie strach gonił. W każdym razie to noc była, już przedmieścia Krakowa minąłem, w pewnym momencie słyszę, że ktoś za mną idzie, ale to ciemno, ciemna noc, to nie widać dobrze. Gdzieś dorwałem jakąś sztachtetę z płotu, mówię: „Ja pierwszy go uderzę, nie będę czekał, żeby on”. Ja się tak zamachnąłem, a to krzyczy: „Nie zabijaj”. On mówi: „Skąd ty idziesz?” To się przyznał, że z więzienia uciekł, to już nie mówiłem mu, że ja taki sam. Musiałem przejść przez szosę, która na Warszawę szła, ale czekałem tak długo, aż nie słyszałem z samochodu ani furmanek, które tam jeździły. Cisza była, spokój, to wtedy przeszedłem na drugą stronę. To była chyba jakaś pierwsza stacja kolejowa w kierunku na Warszawę, nie pamiętam nazwy jej. Tam doszedłem, ale po drodze już słaby byłem, już zmęczony byłem i słaby. Widziałem koniczynę, która była w tak zwanych kuczkach powiązana. Jak snopy zboża tak pozbierałem, wszedłem w to i zasnąłem. Po paru godzinach się obudziłem, wstać nie mogłem, noga mnie boli. Czuję, że jest spuchnięta, ale co tam jest, to nie wiedziałem. Ręka pokrwawiona, tu podrapany, były też jakieś druty gdzieś. Widzę, że jest jakieś gospodarstwo. Powoli doszedłem. Koryto było dla pojenia dla krów czy koni. Nie wiem jak kręcić wodę, bo trzeba było,

żeby spuścić wiadro do studni. On mówi: „W korycie woda, to się z tego koryta napiję”. Zaczęłam pić, ale podświadomie wyczułam, że ktoś za mną stoi. Już chyba ten strach mnie zaczynał brać. Ten milicjant stoi, jak strzeli, to akurat w to koryto wpadnę, a to był gospodarz. Mówi: „Ale cię urządzili. – No, urządzili – No i co?” „No – mówię – jakoś trzeba sobie radę dać”. Mówię: „Ty idź do stodoły, ta matka przyjdzie, to cię opatrzy i chleba ci da. I gdzie ty chcesz uciekać?” Ja mówię: „Do Warszawy”. Mówi: „Poczekaj, za pół godziny będzie pociąg, córka cię zaprowadzi”. No i córka mnie zaprowadziła. Najpierw dali mleka, chleba. Trochę tak opatrzyli z wierzchu, żeby to nie było widać, że tak bardzo źle wygląda. Mundur porwany, pokrwawiony, to już nie dało rady, bo to górna część tylko była. Dolną to miałem cywilną. Dziewczyna zaprowadziła pod stację, z jakimś kolejarem rozmawiała. Co mu dała, nie wiem. Ten kolejarz powiedział, bo wtedy nie było osobowych wagonów, tylko bydlęce. Kazał mnie w wagony, „W końcu jest słoma, tam idź i przed Warszawą cię obudzę. Siedź tam spokojnie.”. W Kielcach wiedziałem, że ciotka, siostra ojca, mąż jej pracuje w Kielcach. Znam adres. Wuj był architektem, za czasów carskich skończył architekturę. Na miejscu jak byłem, dowiedziałem się, że jest architektem wojewódzkim, pełni obowiązki. Bo wtedy po studiach bardzo mało osób było z wykształceniem. Pociąg się zatrzymał pod semaforem, więc ja skorzystałem z tego i wysiadłem. Powoli idąc, jakoś doszedłem. Na dworcu jak wysiądę, to mnie od razu zatrzymają. Pokrwawiony, poobijany. Ciotka mi otworzyła drzwi, jak zadzwoniłem, pierwszą rzecz powiedziała: „Drobnych nie mam”. I przed nosem mi zamknęła. Ja mówię, to co ja, gdzie ja dalej pójde? Drugi raz zadzwoniłem, ale już nogę wsadziłem między drzwi i mówię: „– Ciociu, nie poznajesz mnie? – No, po głosie poznałam”. Jak ja wyglądałem, to już chyba wiadomo. Trzeba było mundur, ubranie całe zdjąć, bo to były pluskwy i wszy. Gorzej było z nogą, bo trzeba było cholerę rozciąć, bo inaczej nie było możliwości zdjęcia. Teraz gips założyć, do szpitala w żadnym wypadku. Ale zbieg okoliczności, pod latarnią podobno to jest najlepiej. Kiedyś w tym czasie mieszkania były przydzielane kilku rodzinom. Nie, że zajmował kilkanaście pokoi ktoś, bo tam były mieszkania trzypokojowe, duże pokoje. Ale wuj zajmował jeden pokój z ciotką, a dwa pokoje z kuchnią zajmował komendant UB. Czyli pod latarnią było najlepiej. Ja o tym nic nie wiedziałem, tylko ciotka mi powiedziała. Mówi: „Nie wychylaj się i nic nie mów”. Powiedziała, że byłem w obozie niemieckim, z pociągu wypadłem i taki poobijany jestem. Pan komendant nie interesował się mną, tylko gorzej, że jego siostra się interesowała młodym chłopakiem. Ciągle tam przychodziła i chciała, żeby ją nauczyć w brydża grać. Ale był moment, że wuj się dowiedział, że on jedzie na jakąś akcję i że jego nie będzie. Wtedy ściągnął jakiegoś chirurga, który przeciął mi cholewę, bo to kilka dni po tym było i gips założył. Ale jakoś szczęśliwie szybko to się zrosło. A ja stamtąd musiałem się wynieść, z Kielc, bo wuj się obawiał, żeby nie było jakiejś komplikacji. Ale znajomy rzędca, który był rzędcą w Żabiej Woli, na Ziemiach Odzyskanych niedaleko Piły, ojciec się dowiedział, że pojechał tam, żeby wziąć poniemiecką jakąś gospodarkę i tam prowadzić. Ponieważ miałem dokładny adres jego, miejsce, ja tam pojechałem. No wiadomo, bydlęce, wagony, w pociągu nawet niektóre, jeden odcinek to nawet na węglarce jechałem, bo nie było miejsca, były na stopniach wagonów, na buforach, ludzie tak przemieszczali się. W każdym razie tam spotkałem pana Kirkora, wybrał gospodarkę, ale ta gospodarka była za blisko wsi, duża. Ja mówię, że poniemiecką gospodarkę poszukam. No i znalazłem. Od wsi była dosyć daleko, tam nie było, że tak powiem, drogi bitej, tylko polna droga. Las był dosłownie w zasięgu wzroku. Wiadomo, że jak będą jechać policja czy tam milicja będzie jechać, czy samochodem, czy furmanką, to będzie z daleka widać, bo to na wzgórku takim, a wieś była nisko. Ale co jest? Niemcy, uciekając, nie zabrali ze sobą mebli, pościeli, mało tego, tam były garnki, sztuce były, talerze, to wszystko było. Daję to porównanie, natomiast jak Niemcy cofali się z Trześniowa, to ja na drugi dzień po ich ucieczce byłem, to zastałem puste ściany i tylko wojskowe prycze, nawet nie było słomy czy materaca, tylko gołe deski. Ja tylko sobie pomyślałem, Niemcy tu pozabierali wszystko, a na ziemiach zachodnich dzisiejszych zostawili wszystko.

W każdym razie, tam z panem Kirkorem prowadziliśmy wspólnie, on tylko umiał dyrygować, znał się na gospodarce dobrze i jakie rzeczy, niezależnie od tego, ja to umiałem robić, nie było problemów. Jego synów musiałem uczyć, że tak powiem, orać, obrządek robić, bo tego nie umieli. Był moment, że za mało ludzi, więc koło Nakła był obóz dawny niemiecki, a tam Niemców, którzy uciekali, a front szybciej się przemieszał, jak oni nie zdążyli przed frontem się wydostać, to na zapleczu normalnie do obozu pchali wszystkich. Przeważnie to były kobiety i dzieci albo starsi Niemcy. Zaproponowali w gminie, żeby pojechać tam, dali dokumenty, że można stamtąd zabrać Niemców do roboty. Ale żeby zabrać Niemców, to ja wpadłem na prosty sposób, znając słabość, że dostarczane do gorzelni kartofle, bo było sporo kartofli poniemieckich, myśmy wozili je. Wiadomo, że nie spasię się krowami czy świniami, za dużo tego było, to do gorzelni. Oni nic innego, tylko gorzelankę dawali za to, bo pieniędzy nie mieli, to były prywatne. Ja kilka karnistrów miałem, jeden karnister wziąłem, jak do obozu przyjechałem, komendant ruski, pytam się jego, żeby wybrał ludzi, to jakiś łamagów poprzyprawdzał, to mówi „to mi nie pasuje”. Ja mówię: „Mam coś dla ciebie, mam taki kanister”, on mówi: „– Co tam masz? – Gorzałkę, – Daj skosztować”. Spróbował. „– Co ty chcesz za to? – Chcę jakichś do roboty, a nie jakiś nie wiadomo co, zdechłaków”. Mówi: „Daj mi ten karnister, to sobie wybierz, 10 osób możesz wziąć”. Wybrałem Niemki, okazuje się, że z wyglądu tak, ale okazuje się, że jedna rodzina była ze wsi, a reszta z miasta, ale ponieważ to były zagłodzone, zabite, poobijane, dosłownie ci Rosjanie z tego obozu to tłukli, bili, nie mówiąc już o gwałceniu, ale coś tam, to walił, bił, poobijane, potłuczone, posiniaczone. No mówię: „Dobra, zabieramy ich”, ale jak Niemki się dostały do jedzenia, do mleka, bo mleka, śmietany, to było pod dostatkiem, było dobrze. Kirkor zabrał dwie krowy z Żabiej Woli, i tu była poniemiecka jedna, a później jeszcze jedna się znalazła w polu, luzem chodziła. No to wie pan, już inaczej były warunki, już było jedzenie, chleb był, i kartofle były, wiadomo, że mięsa nie było, ale podstawowe rzeczy. No myśmy z Kirkorem prowadzili tę gospodarkę, ale koniec końców ja się dowiaduję, że w 1946 roku Zbyszek pójdzie do szkoły rolniczej, a ponieważ ja się znam na gospodarce i umiem robić, a on nie, to ja będę tu gospodarzył. No to ja mówię, to ja będę robotnikiem, ja się będę tu ukrywał. Nawet nie wiedziałem o tym, to się później dowiedziałem, parę lat po tym, że ciotka Rolandowa dała Kirkorowi na przechowanie 2000 dolarów. I ojciec wykupił to, znaczy zapłacił za mój pobyt, za przechowywanie mnie, te pieniądze, które ciotce oddał, te pieniądze za Kyrkora. Czyli znaczy ja byłem podwójnie, raz, że byłem opłacony, żebym je przechował, a druga rzecz, miał robotnika za darmo, bo przecież nie płacił nic, tylko jedzenie miałem, także ubranie czy coś. To w zimie, ponieważ ci repatrianci, którzy byli z Wileńskiego, mieli problemy, raz, że zebranie zboża, poza tym młócenie, nie znali maszyn, maszyn szerokomłotnych, a Niemcy mieli te maszyny szerokomłotne. To ja z traktorystą, z którym się dogadałem, Lanz Bulldogiem, bo kiedyś były te Lanz Bulldogi, nie było takich traktorów, jak te później były, czy teraz, jeździliśmy po tych różnych gospodarstwach i młóciliśmy zboże. Zboże w zamian za to, też nie mieli pieniędzy, ale zboże i do młyna oddawaliśmy zboże, a młynarz już płacił nam pieniędzmi, tak że mieliśmy już pieniądze na swoje wydatki, tak że ubranie czy coś innego, to mogłem już sobie sam zafundować. Po tym wszystkim, jak się dowiedziałem, że Zbyszek ma iść do szkoły, a ja będę gospodarkę prowadził, to się zezłościłem. Dowiedziałem się, że ojciec jest, przeniósł się do Wrocławia. Pojechałem do Wrocławia i zostałem. Zacząłem się uczyć, ale w międzyczasie spotykałem kolegów z różnych oddziałów, z różnych tych. Rozmawialiśmy, dyskusje, jak i co, czy jest sens organizowania. W każdym razie, jeden z tych znajomych, chłopców, tłumaczył mu o działalności jakiejś, że oni będą tu organizować, jakąś działalność wielką, plakaty, jakąś dywersyjną działalność. To wszystko, tak jak mówię, to w powijkach. Ale muszę przerwać na moment i cofnąć się do roku 1945.